płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · IX · 1985 | 17

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Proszę zeszyt stukratkowy w kartkę... O, przepraszam: stukartkowy w kratkę!

— Ja wiem, że to twoje pierwsze długie spodnie. Ale czy ty trochę nie przesadzasz?

— Dzwonię zawsze tak, żeby mama wiedziała, że to ja: 10 razy długo i 20 razy krótko!

• A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

NA WĘGRZECH wyprodukowano nową substancję słodzącą o nazwie ksylit. Surowcem do produkcji tego preparatu są: trzcina, łodygi kukurydzy i słoma. Plany przewidują, że w rejonie Zalavar powstanie niebawem zakład, który produkować będzie 500—600 ton ksylitu rocznie.

Ksylit znajduje zastosowanie w przemyśle spożywczym, a zwłaszcza ubiegają się o niego zakłady cukiernicze. A więc już niedługo Węgrzy (a może i my też) — będą jeść cukierki ze... słomy.

●

MARK TWAIN (1835—1910), autor „Przygód Tomka Sawyera", przeszedł do historii nie tylko jako znakomity pisarz. Był także pierwszym autorem, który dostarczył do wydawnictwa nie rękopis, ale tekst napisany na maszynie.

●

ZWIERZĘTA chodzą do szkoły — taką wiadomość można było przeczytać we włoskich gazetach. Dyrekcja ogrodu zoologicznego w Rzymie postanowiła bowiem wypożyczyć szkołom niektóre egzotyczne zwierzęta jako żywą ilustrację na lekcji zoologii.

Dzieciom bardzo podoba się to ZOO w szkole.

ROŚLINA wodna o nazwie rzemiennica liściasta, którą można spotkać na Wybrzeżu Kalifornijskim, należy do najszybciej rosnących na świecie. Od momentu wynurzenia się na powierzchnię morza jej pędy rosną do 50 cm dziennie. Przekracza to znacznie dotychczasowy rekord dzienny wzrostu roślin, powszechnie przypisywany bambusowi, a wynoszący 30 centymetrów.

●

ARMIA szwajcarska jako jedyna na świecie używa gołębi do przesyłania meldunków wojskowych. Oficerowie sztabowi uważają, że gołębie zapewniają najlepszą łączność. Na etacie armii szwajcarskiej jest obecnie 40 tys. tych ptaków.

Gołębie pracują też w wielu japońskich redakcjach. Przenoszą one do redakcji najpilniejsze wiadomości. Z usług ich korzystają najczęściej sprawozdawcy sportowi, którzy jadąc na zawody zabierają ze sobą klatkę z gołębiami. Gołąb szybciej potem dotrze do redakcji wraz z filmem i sprawozdaniem z meczu niż dziennikarz, który musi przedostawać się przez straszliwie zatłoczone pojazdami ulice wielomilionowych miast.

Nasza okładka:

Witaj szkoło!

1 września 1939 roku
Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę,
nasze państwo miało zniknąć
z mapy Europy,
a jednak przebyliśmy
tę Straszną Rzekę — Wojnę
— żyjemy
— pracujemy
— polskie dzieci rozpoczynają właśnie nowy rok szkolny.

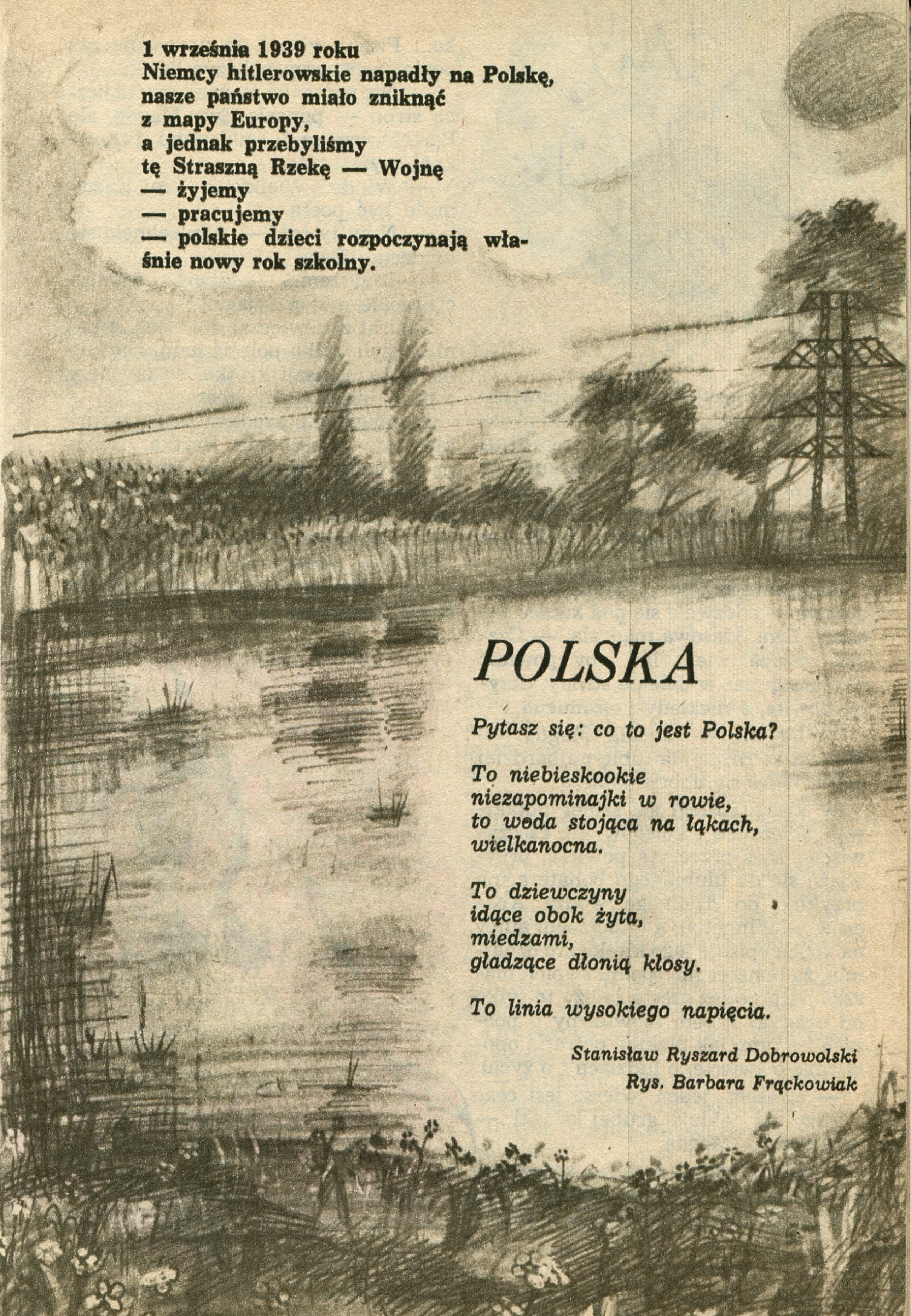

POLSKA

Pytasz się: co to jest Polska?

To niebieskookie
niezapominajki w rowie,
to woda stojąca na łąkach,
wielkanocna.

To dziewczyny
idące obok żyta,
miedzami,
gładzące dłonią kłosy.

To linia wysokiego napięcia.

Stanisław Ryszard Dobrowolski
Rys. Barbara Frąckowiak

Nie każdy może być poetą...

Na lekcji języka polskiego mówiliśmy o pracy pisarza, a także o tym, jaką drogę odbywa książka, zanim trafi do rąk czytelnika. Trzeba przyznać, że mieliśmy sporo wiadomości, a pani z uśmiechem potakiwała głową jak zawsze, gdy była zadowolona z naszych wypowiedzi.

Napisanie książki to nie taka prosta sprawa — odezwała się pod koniec dyskusji Ewa, klasowa mądrala. — Czasem trzeba wielu lat, aby powieść przeniosła nas w dalekie strony, uczyła, bawiła, a niekiedy i zasmuciła...

— Pewnie — dodała Magda. — Książki są różne. Ja lubię najbardziej takie, które się dobrze kończą.

W klasie rozległ się szmer potakiwań koleżanek i kolegów. Bo rzeczywiście: ktoś przeczyta powieść, przywiąże się do ulubionego bohatera, na przykład do dzielnego wodza Apaczów — Winnetou, a tymczasem autor na końcu opisuje jego klęskę lub oznajmia, że bohater nie spełnił swoich marzeń. A przecież często zależy to tylko od pisarza! Potem mówiliśmy o poetach i o tym, jak pięknie potrafią opowiadać o świecie, o ludziach i o życiu.

— Czasem jeden wiersz jest cenniejszy od jakiejś grubej książki — powiedziała Magda.

— Co ty opowiadasz? — sprzeciwił się Bartek. — Przecież powieść pisze się bardzo długo, a wiersz — króciutko... Pisarz więcej się napracuje niż poeta: wystarczy policzyć linijki...

— Nie wszystko można oceniać liczbą stron — poparła Ewa Magdę, ale Bartek wzruszył ramionami i mruknął wyzywająco:

— Wiersz? Wielkie mi co! Każdy może być poetą...

— Niby ty też? — uśmiechnęła się szyderczo Ewa.

— I owszem... — odparł z pewnością siebie mój przyjaciel.

Akurat zadźwięczał dzwonek, a pani zdążyła tylko polecić nam, abyśmy na jutro napisali krótko, co myślimy o pracy pisarza albo poety.

Po lekcjach poszedłem razem z Jurkiem do mieszkania Bartka. Nasza nauczycielka zgodziła się, że możemy przygotować pracę domową w małych zespołach, wspólnie. Byliśmy więc taką trzyosobową grupą i właśnie siedzieliśmy zadumani w mieszkaniu Bartka, głowiąc się, co napisać. Nagle Bartek wykrzyknął:

— Wiem! Napiszemy wiersz!

Spojrzeliśmy na niego zdumieni, a Jurek zapytał:

— Chyba zwariowałeś?

— Wcale nie! Dla chcącego nie ma nic trudnego. A zresztą, musimy napisać króciutki poemat, aby udowodnić Ewie, że każdy może być poetą. Na przykład my...

Bartek zamyślił się i powiedział:

— Najważniejsze są rymy, więc zaczniemy od nich. Jaki może być rym do „Ewa"?

— Śpiewa, mewa, ziewa, ulewa... — zawołaliśmy obaj z Jurkiem, a Bartek uśmiechnął się zadowolony.

Po długiej naradzie napisaliśmy tak:

Na dworze jest ulewa,
a Ewa śpiewa jak mewa...

— No, i jak? — zapytał przyjaciel, kiedy utrwaliliśmy na czysto początek „poematu". — Może być?

— I owszem... — kiwnął głową Jurek. — Ale co dalej?

— Zaraz — mruknął Bartek i napisał:

Za to, gdy świeci księżyc...

— Jaki będzie rym do „księżyc"? — zapytał nasz poeta.

Głowiliśmy się nad tym przez dłuższą chwilę, ale bez rezultatu. Za nic nie mogliśmy znaleźć dźwięcznego słowa, rymującego się z nazwą naszego ziemskiego satelity.

— Szkoda — westchnął. — Przez brak rymu do „księżyca" zmarnujemy taki ładny wiersz...

— I nie zaimponujemy koleżankom, a zwłaszcza Ewie! — dodał z żalem Jurek.

Milczeliśmy siedząc przy stole. A to pech!

Nagle Bartek zawołał:

— Mam!

— Rym?

— Nie, pomysł! Posłuchajcie. Niedawno do mojego wieżowca sprowadziła się pani, która pisze książki. Mieszka piętro niżej i często słychać przez drzwi, jak stuka na maszynie do pisania. Pójdziemy się jej poradzić w sprawie rymu. Na pewno pomoże nam, młodym poetom... Jak myślicie?

Spojrzeliśmy na siebie, ale nie mieliśmy wyboru. Trema tremą, ale skoro postanowiliśmy zadziwić koleżanki i kolegów, trzeba pokonać nieśmiałość. Zresztą to będzie tylko porada praktyczna...

Kilka minut później nacisnęliśmy dzwonek przy drzwiach pisarki.

Otworzyła nam starsza, miła pani w okularach.

— Słucham, chłopcy! — odezwała się z uśmiechem. — O co chodzi?

Bartek był najodważniejszy i odpowiedział:

— My z prośbą o pomoc w sprawie księżyca...

— W sprawie księżyca? — zdziwiła

się autorka. — No, cóż?... Proszę, wejdźcie.

Wsunęliśmy się do pokoju i stanęliśmy zdumieni na widok ogromnej liczby książek. Wypełniały wszystkie półki, leżały na biurku albo na krzesłach, nawet na parapecie okna. Na biurku stała maszyna do pisania z wkręconym w nią arkuszem papieru, już częściowo zapisanym. Widocznie przerwaliśmy pracę pisarce... To nas onieśmieliło jeszcze bardziej, więc milczeliśmy. W końcu Jurek zapytał odważnie:

— Czy... czy pani jest pisarką?

— Tak — potwierdziła miła pani, przypatrując się nam z uśmiechem. — Właśnie dlatego mam tyle książek. To one pomagają mi w mojej pracy.

— A jak powstają pani książki? — zabrał głos Bartek.

— Różnie. Każda z nich wymagała wiele trudu, wielu rozmyślań, zastanawiania się, wiadomości. Każda ma swoją długą historię... Niełatwo jest napisać powieść.

— A wiersz? — wyrwało mi się zaciekawione pytanie.

Autorka zamyśliła się i odpowiedziała:

— Wiersz? Nieraz jeszcze trudniej. Zwłaszcza taki, aby był piękny i prawdziwy. Nie wystarczą rymy, choćby najbardziej wymyślne...

Pisarka opowiedziała nam jeszcze wiele o pracy pisarzy i poetów. I zakończyła słowami:

— Moje książki są trudne, przeznaczone dla dorosłych. Może kiedyś je przeczytacie i przypomnicie sobie swoje dzisiejsze odwiedziny? Pamiętajcie, że pisarz pochyla się nad papierem, aby czytelnika czegoś nauczyć, wzruszyć go, pomóc... A może i wy zostaniecie autorami?

Nie odpowiedzieliśmy. Teraz zupełnie inaczej patrzyliśmy na sprawę twórczości ludzi pióra i na maszynę do pisania. Jak to dobrze, że przyszliśmy z wizytą do tej pani — autorki.

— Chyba nie, przynajmniej nie teraz... — odpowiedział Bartek. — Przepraszamy za zabranie pani czasu. Do widzenia.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnęła się pisarka. — Ale zapomnieliście, że przyszliście poprosić mnie o pomoc w sprawie księżyca...

Zaczerwieniliśmy się, a Jurek odezwał się jakiś zawstydzony:

— Nie, nie zapomnieliśmy, ale to już nie będzie potrzebne... Dziękujemy za wszystko.

Wróciliśmy do mieszkania Bartka i już nie medytowaliśmy nad wierszem o Ewie. „Poemat" wydał się nam teraz strasznie niemądry... Jak to dobrze, że zabrakło nam rymu do „księżyca", bo chyba wszyscy w klasie śmieliby się z tego okropnego „arcydzieła"...

A jednak zdecydowaliśmy się przeczytać w klasie nasz wiersz. I nikt z nas nie kpił, gdy opowiedzieliśmy o naszej wizycie u pisarki. Wszyscy rozumieli, że bez poetyckiej próby nie mielibyśmy takich ciekawych wiadomości o pracy ludzi, którzy nas uczą i bawią za pomocą piękna zaczarowanego w słowach.

Ryszard Przymus

Rys. Anna Kołakowska

- ZA 5 MINUT POCZĄTEK ROKU SZKOLNEGO!

- JA TU IDĘ DO SZKOŁY.. TAM W DO TATA PEŁ BAWI SI MOJĄ KOLEJKA

- CHŁOPAKI, POMYŚLCIE.. MATURA ZA 11 LAT!!

- MY W DRU- GIEJ KLASIE MAMY NAUCZYCIELKĘ PIERWSZA KLASA!

- ŻE TEŻ ONI CO ROKU MAJĄ COŚ NOWEGO DO NAUCZANIA!..

- CHCIAŁABYM MIEĆ OJCA KOLEJARZA - DO TYCH WSZYSTKICH RACHUNKÓW Z PO- CIĄGAMI!

- Pssst! ON NIE WIE, ŻE JA GO WIOZĘ DO SZKOŁY!!

GWIDON MIKLASZEWSKI 70

LATO NAGLE ZJESIENNIAŁO

Lato nagle zjesienniało
w porywistych smugach deszczu
i gwałtownie okrążało
pnie w ogrodzie, aż do zmierzchu...

Księżyc w chmurze się zagrzebał,
gwiazdy także gdzieś przepadły.
Ani ziemi, ani nieba,
tylko nocne jakieś zjawy...

Dokąd uciec? — do snu chyba,
tam pogodnie, kolorowo.
Tylko drzemać i podziwiać,
póki cienie ponad głową...

Kazimierz Śladewski

WRZESIEŃ

(fragmenty)

Już za nami ciepłe lato,
cień głęboki, upał, burze,
ale mamy wrzesień za to
i najczystszy błękit w górze.

A nad rzeką? Cicho, pusto
przez dzień cały aż do świtu.
Prawda, że i wody lustro
pochłodniało od błękitu?

Tylko w szkole ruch i życie,
tak jak przedtem w polu, w lesie.
Tylko w szkole — czy słyszycie?
huczy szumny, gwarny wrzesień.

Czesław Janczarski

Rys. Przemysław Woźniak

Wspomnienia Pisarza

MOI NAUCZYCIELE I KOLEDZY

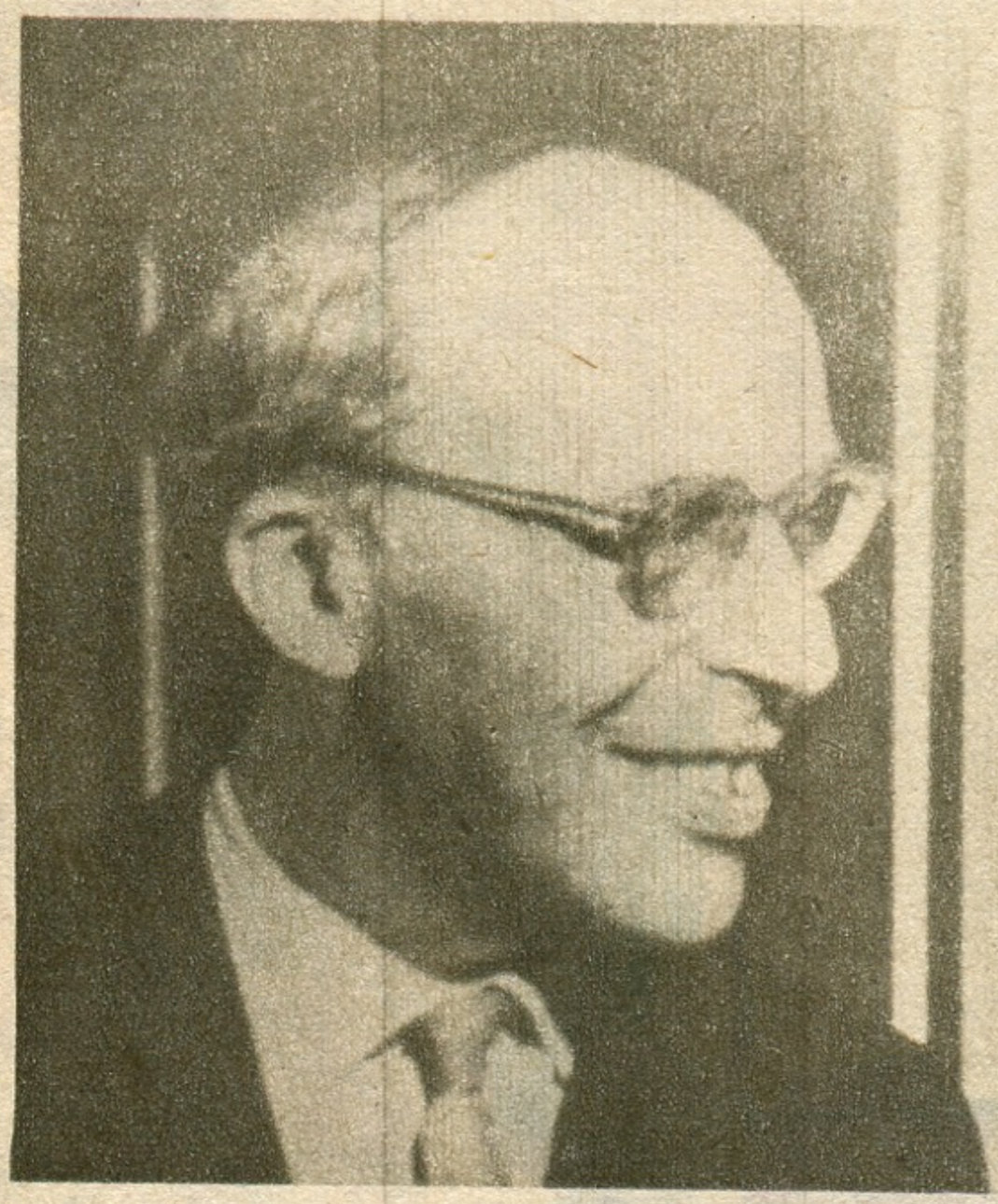

Autor wspomnień — Wojciech Natanson

Otrzymałem bardzo miły list. Dwunastoletni Tomasz Piechota z Zalewa prosi mnie o autograf do „albumu sławnych ludzi". Prośba była przyjemna i zaszczytna. Ale i żenująca. Czy jestem sławny? To raczej mój nieżyjący od 1937 r. ojciec, fizyk Władysław Natanson był człowiekiem o światowym rozgłosie. Ja tylko chciałem być innym użyteczny. I nie zawsze mi się to udawało. Wynagradza mi to życzliwość czytelników, którzy wykupili doszczętnie moje książki (np. o Wyspiańskim, czy „Z różą czerwoną przez Paryż") oraz tłumaczenia (np. „Kapitan Fracasse" Gautiera, czy „Łowcy meteorów" Verne'a).

Prośba 12-letniego Tomasza Piechoty przypomniała mi pewien moment w życiu. Były to czasy bardzo odległe: pierwsza wojna światowa. Znalazłem się wtedy, 12-letni, w trzeciej klasie sławnej szkoły, Gimnazjum im. Sobieskiego w Krakowie. Jak się potem okazało, miałem tam znakomitych profesorów i kolegów. Wojna się jeszcze toczyła niedaleko Krakowa. Brakowało żywności. Ale nasi nauczyciele byli nie tylko profesorami. Także — naszymi życzliwymi przyjaciółmi.

Jednym z najsławniejszych stał się prof. Leon Chwistek. Człowiek niezwykły! Filozof znany w świecie, jeden z twórców nowoczesnej logiki, patriota, który w latach 1914—1916 walczył w Legionach, świetny malarz, powieściopisarz, znawca kultury. Miał taką siłę przekonywania, że największe wśród uczniów antytalenty w zakresie matematyki umiał pozyskać dla dowodów logiczno-matematycznych.

Drugim mistrzem był Zygmunt Klemensiewicz, który zginął przed kilku laty w katastrofie lotniczej. Po II wojnie światowej świetny językoznawca. Za moich czasów szkolnych miłośnik literatury, szczególnie staropolskiej. Do dziś pamiętam to, co nam mówił o

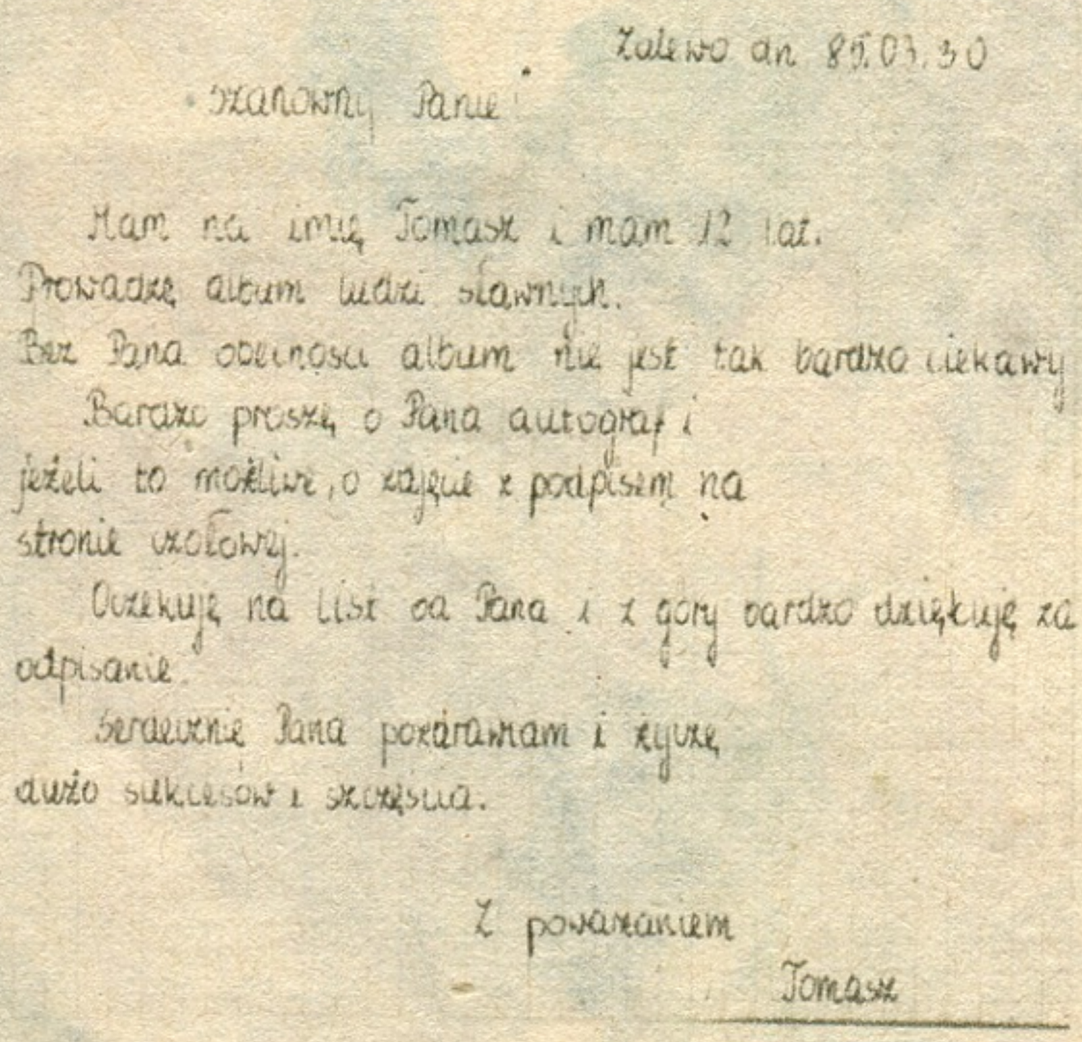

Zalewo dn. 85.03.30

Szanowny Panie!

Mam na imię Tomasz i mam 12 lat.
Prowadzę album ludzi sławnych.
Bez Pana odpowiedzi album nie jest tak bardzo ciekawy.
Bardzo proszę o Pana autograf i
jeżeli to możliwe, o zdjęcie z podpisem na
stronie rodzinnej.
Oczekuję na list od Pana i z góry bardzo dziękuję za
odpisanie.
Serdecznie Pana pozdrawiam i życzę
dużo sukcesów i szczęścia.

Z poważaniem
Tomasz

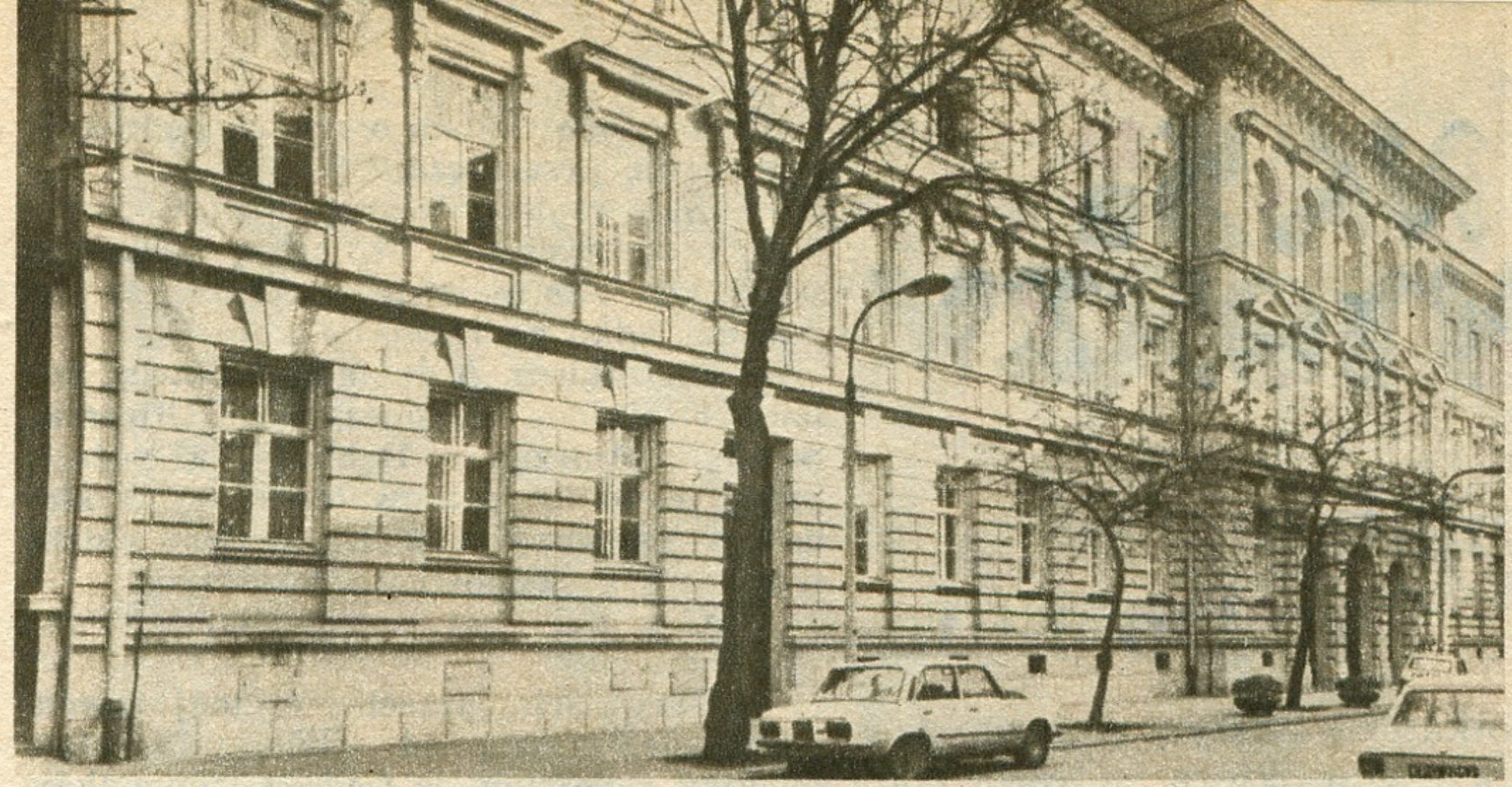

Współczesne zdjęcie szkoły w Krakowie, do której chodził Wojciech Natanson

Kochanowskim, Sępie Szarzyńskim, Krasickim.

Trzeci nauczyciel — to Franciszek Fuchs. Dowcipny, bystry, piękny, efektowny. Proponowano mu katedrę na Uniwersytecie, wolał pozostać w szkole gimnazjalnej i pracować z młodzieżą młodszą. O naszej klasie mawiał, że jest „wyjątkowa" — głównie (choć nie wyłącznie) z tego powodu... że doskonale wyje!

Wreszcie, nasz katecheta, ks. Bogdan Niemczewski. Znał się dobrze na dogmatyce i liturgii. Ale najgoręcej pasjonował się sztuką Renesansu. Opowiadał nam, gdy mu tylko wystarczało czasu, o Rafaelu, Leonardzie da Vinci, Michale Aniele.

Koledzy! Był wśród nich dobrze dziś znany fraszkopisarz, autor książek dla dzieci, poeta i znawca teatru lalek, Jan Sztaudynger.

Był i Tadeusz Putsch, ewangelik, z rodziny niemieckiej, podczas okupacji hitlerowskiej nieustraszony żołnierz AK, który zginął 1 sierpnia 1944 r. walcząc na czele powstańczego oddziału. W Krakowie (także i w całej Polsce) rodziny niemieckie były wchłaniane przez polską kulturę, mimo zaborów i rozbiorów kraju.

Inny mój kolega, to także i dziś pracujący, Józef Bogusz. Razem ze Sztaudyngerem i z nim siedzieliśmy w jednej ławce szkolnej. Wtedy miał ogromne zdolności muzyczne, ale po maturze poszedł na medycynę i został sławnym chirurgiem. Zdobył też sławę jako znawca nauki o starości, oraz badacz historii walki polskich lekarzy w czasie okupacji o ratowanie ludzi w obozach i więzieniach.

Znakomity później historyk i geograf (autor atlasów z geografii historycznej), syn chłopa, Karol Buczek, był ulubionym w mojej szkole uczniem profesora Fuchsa.

Andrzej Turowicz! Wybitny matematyk, po wojnie zakonnik ze zgromadzenia cystersów w Tyńcu pod Krakowem, potrafił połączyć w latach 50-tych i 60-tych działalność naukowo-wychowawczą i religijną. Był na uniwersytecie słuchaczem mego ojca i opowiadał mi taką anegdotę. Pewnego dnia jakiś student zdawał u mego ojca egzamin. Nic nie umiał. Czując swą winę, dziwnie się usprawiedliwiał: „Panie profesorze, uczyłem się w pociągu..." „A gdzie pan mieszka?" — spytał go mój ojciec. „W Bochni." „To za blisko Krakowa. Trzeba było jechać np. z Honolulu czy Hongkongu".

Profesorowie moi, o których piszę na początku tego wspomnienia, uczyli nas miłości do Ojczyzny i do ludzi, sami byli porywającymi przykładami tej miłości, obywającej się bez frazesów, bez pustych słów, za to cierpliwej i aktywnej.

Wojciech Natanson

NASI AUTORZY

Bronisław Dostatni

Na spotkanie z naszym autorem zabrałam przesyłkę, która nadeszła pod adresem redakcji, właśnie dla pana Bronisława Dostatniego. Był w niej 7 numer „Płomyczka" wraz z listem od Marcina Tomaszewskiego z woj. konińskiego z prośbą o autograf. Pan Bronisław chętnie podpisał Marcinowi swój artykuł zatytułowany „Liliputy Pacyfiku".

— Czy dużo listów od dzieci Pan otrzymuje?

— Dużo. Najwięcej po sezonie spotkań, który przypada na maj i czerwiec. Jeżdżę wtedy po kraju i w klubach, bibliotekach i szkołach opowiadam o swoich podróżach i pokazuję przezrocza.

— Nasi czytelnicy znają pańskie artykuły o egzotycznych krajach i ciekawych podróżach. Ale niewiele dzieci wie, że jest pan nie tylko podróżnikiem, ale i...

— ...lotnikiem. A dokładnie mówiąc byłem lotnikiem. Ukończyłem Oficerską Szkołę Lotniczą w Dęblinie, a później przez wiele lat pracowałem jako wykładowca na uczelniach i pełniłem służbę wojskową w jednostkach lotniczych.

— Czy dziś coś jeszcze wiąże Pana z lotnictwem?

— Oczywiście, przecież to mój zawód. Aktualnie, zresztą od wielu lat, jestem biegłym sądowym do badania wypadków lotniczych. Ostatnio ukazało się też „500 zagadek lotniczych", których jestem współautorem. Poza tym często podróżuję samolotami.

— A więc znowu wróciliśmy do podróży. Jak się one zaczęły?

— Kiedy pracowałem naukowo, napisałem pracę doktorską z pogranicza geografii i techniki lotniczej. Wówczas też rozpocząłem podróżowanie. Na początku był to udział w turystycznych rajdach samochodowych organizowanych przez Polski Związek Motorowy. Dzięki tym rajdom zwiedziłem Europę.

Bronisław Dostatni na Miedzianej Górze w Honolulu (Hawaje)

W Meksyku wśród Indian w Tula

— *I chciał Pan zwiedzić resztę świata.*

— Tak. Marzyłem o dalekich podróżach, i to się spełniło.

— *Teraz powinnam zapytać o Pana pierwszą podróż.*

— Pierwszą? To była podróż w parę dni po urodzeniu, w koszyku niesionym przez matkę na pole — urodziłem się na wsi. Drugą podróż odbyłem z Cyganami, kiedy miałem 6 lat. Zabrali mnie sprzed domu do swojego obozowiska. Kiedy po paru dniach odnalazł mnie tam sąsiad i odprowadził do rodziców, byłem bardzo zły, bo spodobały mi się konie i cygańskie ogniska.

— *To pewnie wtedy zaraził się Pan „cygańskim życiem".*

— Jeśli tak można określić podróżowanie, to pewnie wtedy. W ostatnich latach odbyłem trzy wyprawy dookoła świata, w tym jedną samotnie.

— *Jak Pan podróżował?*

— Samolotem, samochodem, konno, łodzią i... jak się dało. Największą wyspę archipelagu Fidżi — Viti Levu przeszedłem pieszo. Moja wyprawa trwała około 8 miesięcy. Rozpocząłem ją w Warszawie, skąd samolotem doleciałem do krajów Zatoki Perskiej, potem były Indie i wśród wielu, wielu innych państw Nepal, Singapur, ważniejsze wyspy Pacyfiku i Australia.

— *Jak wyglądała podróż przez Australię?*

Wśród młodzieży japońskiej

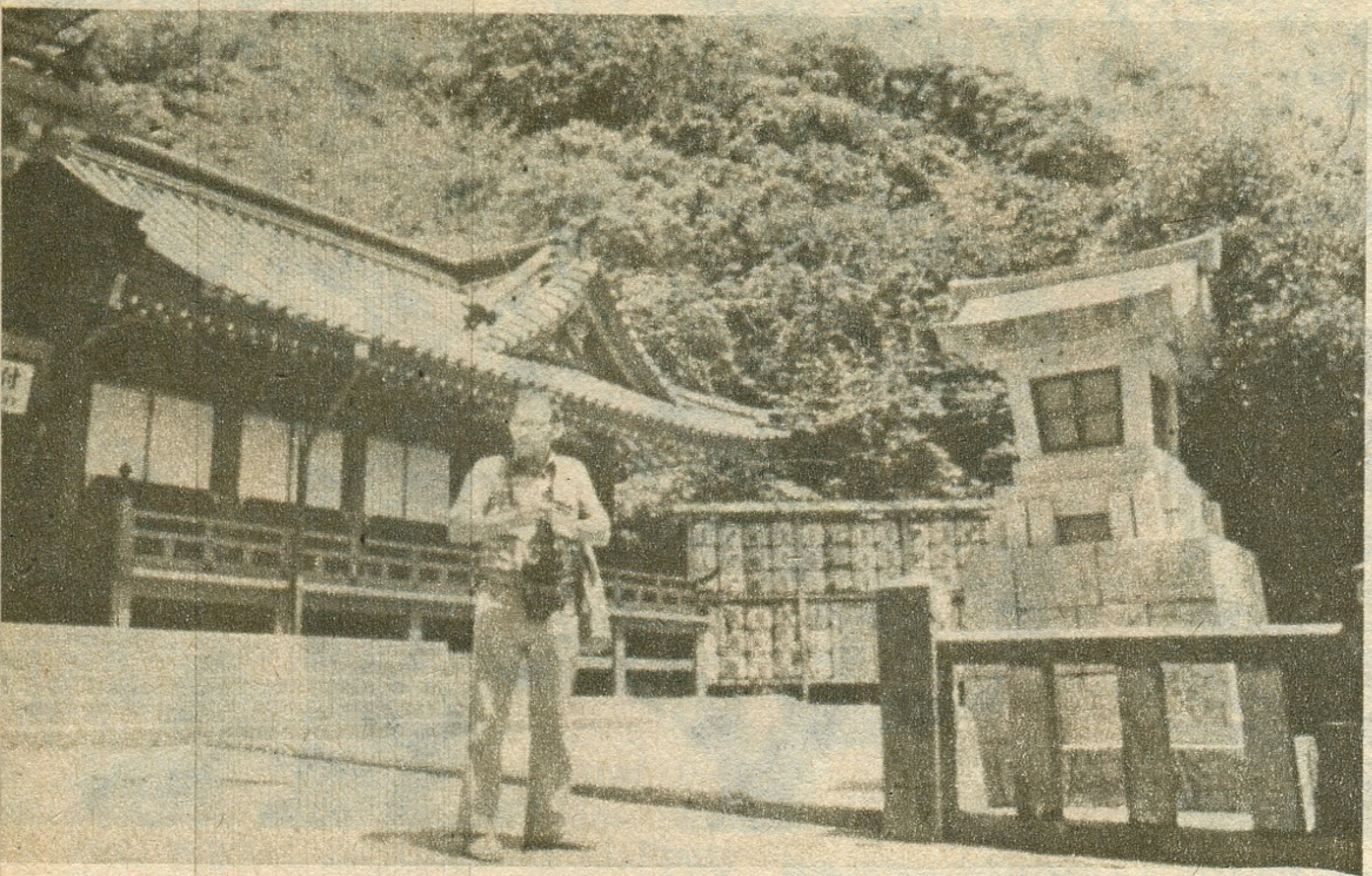

W Japonii w świątyni Kamakura

— Jechaliśmy samochodem przez środek kontynentu. W trakcie przejazdu poznałem australijskich tubylców, Aborygenów, uczestniczyłem w poszukiwaniu szlachetnych kamieni...

— O młodzieży z Australii czytelnicy nasi mogli przeczytać w 14 numerze „Płomyczka", a o innych przygodach?

— Powstaje teraz książka opisująca te 120 tysięcy kilometrów, które przebyłem.

W porcie morskim w Sydney (Australia) na polskim statku „Konrad Korzeniowski"

W Gizie nad Nilem na tle piramidy Chefrena

Będzie się nazywała „Wyprawa mojego życia" lub „Zygzakiem dookoła świata".

— Słyszałam kiedyś o tej podróży w radio.

— Opowiadam o krajach, które poznałem, w cyklu audycji geograficznych dla uczniów klas od piątej do licealnych. Moje zdjęcia z podróży ilustrują też podręczniki do geografii.

— Czytałam niedawno pańską bardzo ciekawą książkę „Na kolorowych atolach Oceanii". Czy o innych rejonach świata też napisze Pan książki?

— Tak. „Wokół Morza Śródziemnego" ukaże się niedługo, również „Na plantacjach roślin tropikalnych" i „Australia i Oceania". Wszystkie będą ilustrowane moimi przezroczami, których mam ok. 14 tysięcy. Dla TV i Interpressu nakręciłem wiele filmów, m. in. o Japonii, Hawajach...

— Z jakimi krajami wiąże się Pana najciekawsze przeżycie?

— Najsilniejsze i chyba najbardziej groźne — z wyspą nazywaną „rajem na ziemi", z Tahiti. Mówiono mi, że nie ma tam szkodliwych roślin i wszystko można zjeść. Tymczasem właśnie na Tahiti zatrułem się rośliną teve, której niegdyś używano jako trucizny do zgładzania przestępców, a jedna kropla wystarczała, by spowodować śmierć. Musiałem mieć dużo szczęścia, kiedy przegryzłem teve. Ale język przez parę dni miałem sztywny i trudno mi było oddychać. Doszedłem do zdrowia dzięki pomocy tubylców.

— A jacy tubylcy są najsympatyczniejsi?

— Chyba Samoańczycy. Są najbardziej gościnni, otwarci. Pewnie dlatego, że Samoa to kraj grubasów, mało który z rdzennych mieszkańców tej wyspy waży mniej niż 150 kg.

— Czy pamięta Pan jakąś przygodę z dziećmi?

— To było na wyspie Bali. Obskoczyło mnie ze 200 dzieciaków. Nie wiedziałem, jak się spomiędzy nich wydostać. Biały człowiek jest dla nich atrakcyjny, ma zazwyczaj przy sobie dolary.

— Gdzie dzieci były najmilsze?

— Najmilsze i najładniejsze wydawały mi się ciemnoskóre dzieci Maorysów na Nowej Zelandii. Ale dzieci są wszędzie sympatyczne.

— Teraz na zakończenie: czy możemy, czytelnicy i redakcja „Płomyczka", spodziewać się nowych artykułów z nowych podróży?

— Wybieram się niedługo w podróż dookoła świata, oczywiście inną trasą. Mam w planach zwiedzenie wszystkich wysepek Karaibów i wschodniej Afryki. Chciałbym wreszcie móc powiedzieć, że byłem już w stu krajach świata, może mi się to uda w najbliższym czasie.

— Serdecznie Panu tego życzymy.

Rozmawiała Maria Czernik

POLNE DROGI

(fragmenty)

Polne drogi nas prowadzą
między żyta błyskawice.
Chwieje się rozgrzany zagon
dojrzałością i błękitem.

. . . . . .

Polskie nasze polne drogi!
Ptaki i pszenice sypkie!
Rży nad ranem kary ogier
i na łąkach zachwyt kwitnie.

Bogdan Chorążuk

TWÓJ DOM

Jest w każdym naszym słowie,
a słowa są najprostsze —
chleb, mama, dom gościnny
i Wisła, i Mazowsze.

I jest w czerwieni maków
i w białych kwiatach wiśni,
w piosenkach wszystkich ptaków
i w każdej naszej myśli.

W mazurku chopinowskim
i w czarnym węglu Śląska,
i tu, gdzie serce mówi,
że to jest właśnie — Polska.

Wanda Chotomska

KOCHAŚ

Mówisz: — „Kocham rzekę,
kocham las!"
Zapewne kochasz jeszcze
trawę i obłoki.

A dla kogo je kochasz?
Dla siebie, tylko dla siebie.

Kochaj je dla wszystkich,
kochasiu.

Tadeusz Urgacz

* * *

A jak ciebie kto zapyta!
Kto ty taki, skąd ty rodem?
Mów, żeś z tego łanu żyta,
żeś z tych łąk, co pachną miodem.

Mów, że jesteś z takiej chaty,
co Piastowską chatą była.
Żeś z tej ziemi, której kwiaty
gorzka rosa wykarmiła.

Maria Konopnicka

Rys. Wanda Orlińska

Tańczący słoń

10

Bartek zatrzymał się przed drzwiami hotelu. Przyszedł do „Jantara" z dokładnie ułożonym planem, lecz, gdy znalazł się u celu, zapomniał, co i jak ma robić, a do tego jeszcze opuściła go odwaga. Stał więc niezdecydowany. Z nudów przyglądał się mimo woli wychodzącym i wchodzącym gościom.

Wnet u drzwi zjawił się portier w granatowym, złotymi lampasami ozdobionym uniformie. Wyglądał jak kacyk murzyński. Brak mu było tylko orderów.

— Czego szukasz? — zagadnął ostro chłopca.

— Szczęścia — odparł hardo.

— Jak szukasz szczęścia, to zagraj w toto-lotka, a nie stercz mi tu, bo tego nie lubię.

Bartek chciał odejść, gdy wtem z hotelowego holu wyskoczył mały, łaciaty pinczerek, a za nim wybiegła blada, o szczudłowatych nogach dziewczyna.

— Małgosia! — wyszeptał. — Córka Żałosnej Mortadeli.

Poznał ją kiedyś na plaży i razem jeździli rowerem wodnym. Podszedł więc śmiało, bez obawy.

— Cześć, Małgosiu — przywitał ją niemal entuzjastycznie.

— Cześć — odparła chłodno. — Czy my się znamy?

— Nie pamiętasz? Jeździliśmy razem na rowerze wodnym.

Potrząsnęła głową.

— Nie przypominam sobie. Tylu chłopców poznałam na plaży, że wybacz — mówiła międląc słowa między wargami, jakby je chciała żuć.

Zamurowało go lekko, gdyż nie spodziewał się tak chłodnego przywitania. Wnet jednak zahaczył:

— Jestem kolegą Zulejki.

— Tej zwariowanej dziewczyny, która z chłopcami bawiła się w Indian?

— Tej samej. Teraz to sobie chyba przypominasz.

— Zulejkę tak, ale ciebie nie.

Chciał jej powiedzieć: „pocałuj się w nos", lecz na schodach tarasu ujrzał jej matkę. Żałosna Mortadela szła z jakimś cudzoziemcem. Przy boku mężczyzny była nieco bardziej ożywiona niż na wczorajszym przyjęciu. Jej partner — nie mógł go dopasować do żadnej narodowości — był niski, okrągły, włosy miał czarne, wijące się kędziorami.

— Dzień dobry pani — przywitał Bartek smętną kobietę.

Na jego widok jej twarz stężała.

— Dzień dobry — powiedziała szybko i równie szybko zwróciła się do córki: — Czy to twój kolega?

— Tak — odparła. — Poznaliśmy się na plaży.

— I pewno chcecie iść na plażę?

— Tak. Właśnie... — Chciał powiedzieć Bartek, że dobrze się składa, bo jest pogoda, lecz pani Irma przestała się nimi interesować.

Powiedziała coś po angielsku do swojego towarzysza i poszli w kierunku przystani.

— Kto to? — zapytał Bartek Małgosię.

Ta skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

— Nienawidzę go, a mama jest nim zachwycona.

— W porządku, ale jakiej jest narodowości?

— Arab. Przyjechał z Kuwejtu robić jakieś ciemne interesy.

— Skąd wiesz, że ciemne?

— Wystarczy spojrzeć na niego. Ma mnóstwo forsy i szeroki gest, lecz to prostak.

— To mi się nawet składa — rzekł w zamyśleniu.

— Co się składa?

— A nic... — rzucił na odczepne, jednak w jego dociekliwym umyśle zrodziło się

podejrzenie: ten Arab, cały w czarnych kędziorach, wyglądał na typowego przestępcę. A nuż oni znają się od dawna? A nuż wspólnie robią mętne interesy? No, jasne, tacy zdolni są do wszystkiego. Ojciec mówił mu kiedyś, że Arabowie skupują w Polsce srebro, złoto, biżuterię, brylanty! O, właśnie, brylanty — błysnęła mu iście brylantowa myśl.

Kiedy doszli do plaży, był już pewny, że między Żałosną Mortadelą a tym szejkiem arabskim, pożal się Boże, istnieją jakieś tajemnicze, pachnące przestępstwem związki.

Kiedy usiedli, Małgosia starała się nawiązać rozmowę, lecz Bartek był tak zajęty dorosłymi, że odpowiadał jedynie monosylabami.

Mortadela z szejkiem, wyciągnięci wygodnie w plażowych koszach, rozmawiali po angielsku. Sierżant, wywiadowca-amator, starał się usłyszeć choćby słowo. Niestety, odległość była za duża i, choć znał nieźle angielski, nie mógł dociec, o czym mówią.

— Małgosiu, czy mogę cię o coś zapytać?

— Proszę. — Spojrzała chłodno.

— Bo wiesz, wczoraj twoja mama była u pani Żednickiej... Czy one dobrze się znają?

— Widziałam, jak grały kiedyś w hotelu w brydża.

— A kiedy twoja mama wczoraj wróciła do domu?

— Nie mam pojęcia, bo siedziałam w holu i oglądałam telewizję.

— Mówiłaś, że jadłyście razem kolację.

— Tak, ale później. Moja mama lubi nocne życie. Po kolacji poszła jeszcze z tym wstrętnym Arabem na dansing.

— Może przy kolacji wspomniała coś o tańczącym słoniu?

— Zabawne — zachichotała. — O jakim ty mówisz słoniu?

— No... o takiej figurce z porcelany, przedstawiającej tańczącego słonia.

— Nie, a w ogóle byłam wściekła, bo mama czarowała tego orangutana. Musisz wiedzieć, że mama potrafi być bardzo miła.

— Rozumiem — powiedział w zamyśleniu.

Nagle, z boku, spoza koszy, wyłoniła się postać wytwornego Tola.

Małgosia spojrzała płochliwie na matkę. Ta, nie czekając, aż się Tolo zbliży, wyszła mu naprzeciw.

Dziewczyna westchnęła żałośnie.

— Znowu ten typ prześladuje mamę.

Bartek przyglądał się tej scenie w napięciu. Kobieta, nie witając się z Tolem, przez zaciśnięte zęby rzuciła kilka cichych słów, po których wytworniś cofnął się przezor-

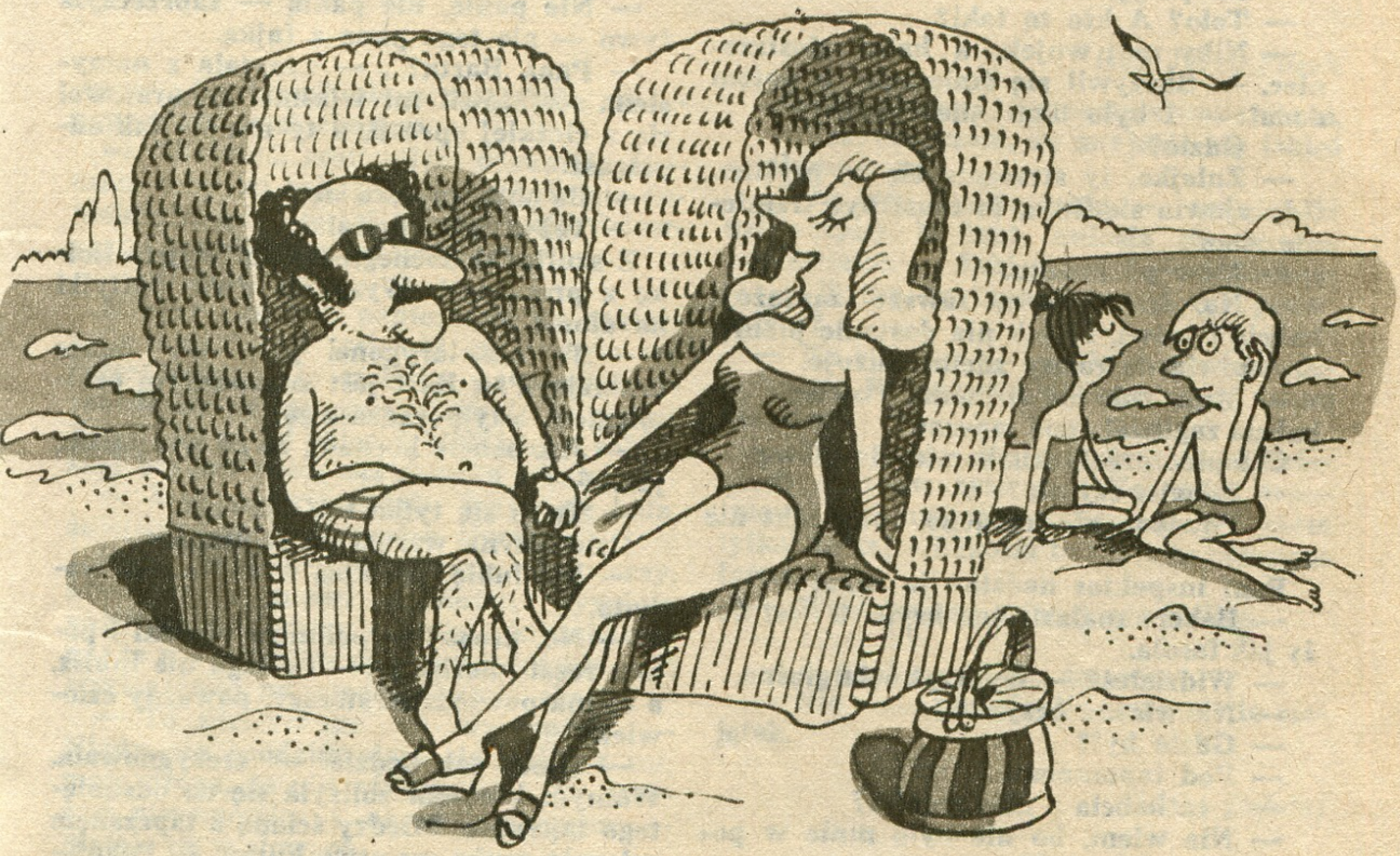

nie. Wysuwając obronnym ruchem ręce, powiedział:

— Ależ, Irmo, przecież sama telefonowałaś, żebym przyjechał.

— Tak — potwierdziła z naciskiem. Dyskretnym ruchem głowy wskazała siedzącego w koszu Araba i dodała: — Bądź łaskaw zaczekać na mnie w „Jantarze".

— Moja droga, nie mamy czasu, żeby się zastanawiać, trzeba działać jak najszybciej, bo ktoś może sprzątnąć nam sprzed nosa...

W tym momencie pomiędzy kosze wdarła się niesforna gromada rozkrzyczanych chłopców. Walcząc zaciekle o piłkę, zagłuszyli dalszą rozmowę.

* * *

Pani inspektor Zulejka skorzystała z zaproszenia babci Żednickiej. Kiedy znalazła się na klatce schodowej, zobaczyła Muminka zjeżdżającego po poręczy. Złapała go za spodnie i ściągnęła na stopnie schodów.

— Babcia w domu?

— Tak, ale nie idź tam, bo babcia piramidalnie wkurzona — ostrzegł ją malec. — I w ogóle lepiej byłoby zabawić się w Indian.

— Muminku, nie zawracaj mi głowy. Powiedz lepiej, dlaczego babcia wkurzona?

— Bo przyjechał Tolo.

— Tolo? A kto to taki?

— Niby mój wujek, a babci siostrzeniec. — Skrzywił się śmiesznie, a potem dodał: — I było trzęsienie ziemi.

— Gdzie?

— Zulejko, ty strasznie ciężko myślisz. Gdy zjawia się Tolo, to musi być trzęsienie ziemi.

— Mów po ludzku.

— No, draka, bo on zawsze szantażuje babcię i mówi, że jak nie dostanie pieniędzy, to się do reszty zdemoralizuje.

— Mnie Tolo nie obchodzi. Powiedz, czy babcia zaglądała pod tapczan?

Chłopiec przekręcił komicznie głowę.

— Mówisz czy nie?

— Powiem, ale na ucho, żeby nikt nie słyszał.

Pani inspektor nadstawiła ucha.

— Babcia znalazła ten brylant. Jest duży jak fasola.

— Widziałeś? — wykrzyknęła głośno.

— Na własne oczy.

— Gdzie był?

— Pod tapczanem.

— I co babcia z nim zrobiła?

— Nie wiem, bo nie było mnie w pokoju.

— Kręcisz. Jak mogłeś widzieć brylant, skoro nie było cię w pokoju?

Malec skrzywił się płaczliwie.

— Eee... do kitu. Ty nigdy nie kupisz dobrego dowcipu.

Zulejka tupnęła nogą ze złości. Była wściekła, że tak łatwo dała się nabrać smarkaczowi. Gdy usłyszała, że babcia znalazła pod tapczanem brylant, zawirowało jej w głowie, przed oczami zobaczyła świetliste kręgi.

— Trzeba być bardziej odporną. I trzeźwo oceniać sytuację — pomyślała.

Uspokojna nieco, weszła na piętro. Zapukała do drzwi pokoju pani Żednickiej.

— Kto tam? — usłyszała jej głos.

— To ja, Zula.

Zaskrzypiały cicho drzwi, a w szparze ukazała się głowa gospodyni.

— Wejdź — powiedziała cicho — ale błagam cię, nie wspominaj mi o słoniu, bo jestem u kresu wytrzymałości psychicznej.

Zulejka cicho wśliznęła się do pokoju. Wzrok jej padł na odsunięty od ściany tapczan.

— Pro... pani, przepraszam — wyszeptała — a o tapczanie można mówić?

Babcia uniosła oczy ku sufitowi.

— Ech... Nie można z wami wytrzymać. Jesteś bardzo miła, a tymczasem wyprawiasz jakieś niesamowite rzeczy. Powiedz mi, ale szczerze, dlaczego nas śledzisz?

— Nie panią, nie panią — zaprzeczyła żywo — ale tego pana z fajką.

— Pana Barta?... — zapytała z namysłem. — Mówił mi właśnie, że uratował cię z ciężkiej opresji, a ty mu się tak odpłacasz.

— Bo on... wypiera się...

— Też o tym słyszałam.

Z szufladki nocnego stolika wyjęła fiolkę z proszkami. Wysypała dwie pastylki na dłoń.

— To niewiarygone, jaką wy macie fantazję. Pan Bart jest znakomitym ornitologiem, a ty posądzasz go...

— Jak babcię kocham, że go widziałam, jak...

— To ci się tylko tak zdawało.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie lubię, jak ktoś ze mnie robi wariata.

— No, proszę — połknęła proszki i popiła resztą herbaty. — Ty tego nie lubisz, a co ma powiedzieć starszy, poważny człowiek?

— Niech tak będzie — zrezygnowała. Wolnym krokiem zbliżyła się do odsuniętego tapczanu. Między ścianą a tapczanem zalegała gruba warstwa kurzu. — Pokojo-

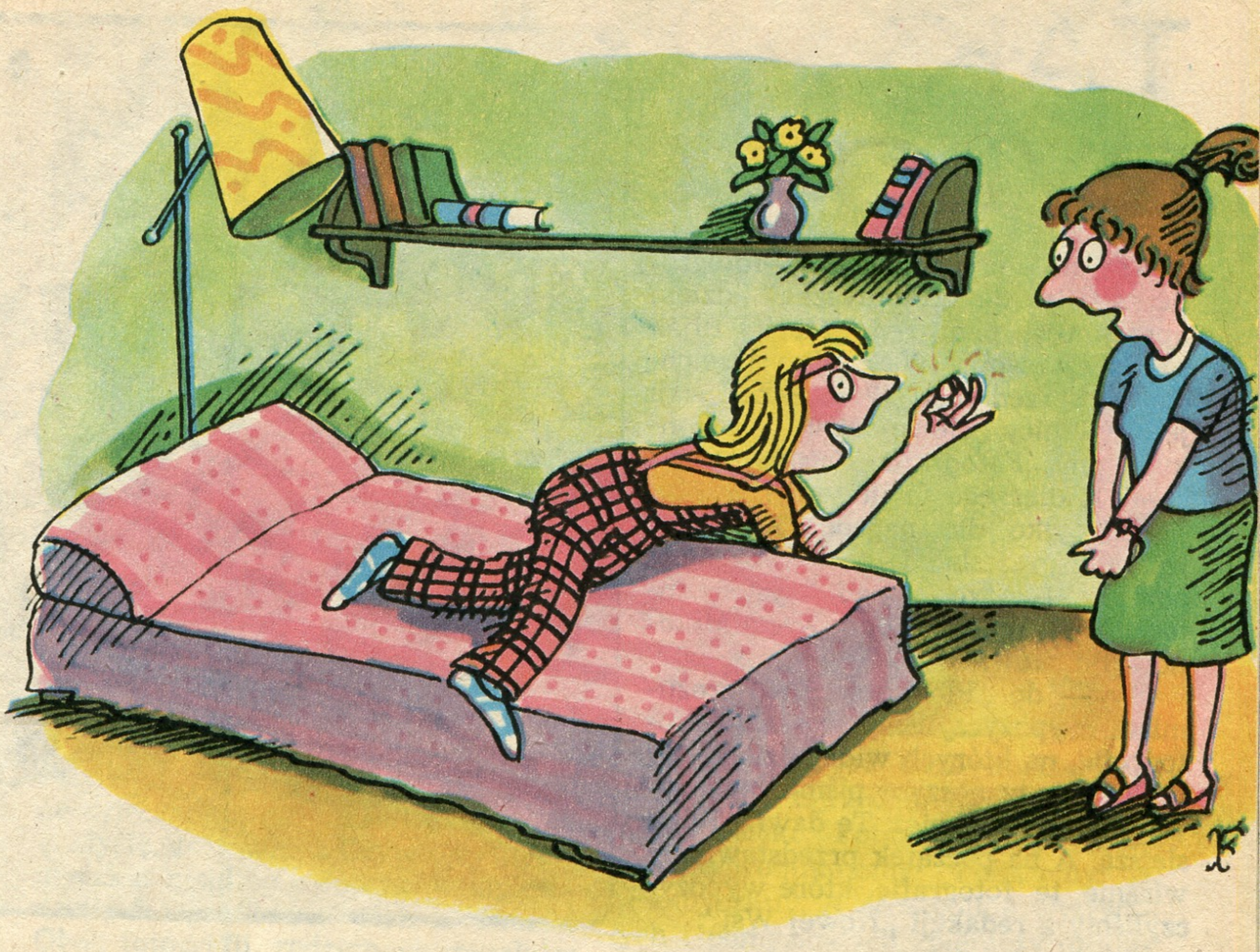

Rys. Jerzy Flisak

we w „Goplanie" nie przemęczają się — zauważyła mimochodem.

— Właśnie... zostawiłam odsunięty tapczan, żeby jej pokazać... — Babcia nie dokończyła, gdyż w tej samej chwili dziewczyna zawołała triumfalnie:

— Jest!

Między zmiętym papierkiem po cukierku a kawałkiem tasiemki spostrzegła coś błyszczącego. Nie czekając na pozwolenie rzuciła się na tapczan i sięgnęła za mebel. Za chwilę w jej palcach błękitnawo zabłysnął brylant wielkości ziarnka grochu.

— Jest! — wyszeptała, jakby się bała, że spłoszy niepowtarzalną chwilę.

Pani Żednicka zmartwiała. Jej oczy, utkwione w małej błyskotce, wyrażały największe zdumienie. Była tak zaskoczona, że nie potrafiła opanować drżenia ręki wyciągniętej po nieoczekiwany skarb.

— To niesłychane — wyszeptała. — Nigdy nie spodziewałam się... Wierz mi, moja droga, że nie wiedziałam... To przecież niesamowite i niewytłumaczalne — plątała się w słowach.

Zulejka pierwsza opanowała wzburzenie.

— Przypuszczam, że znajdzie się jakieś wytłumaczenie.

— Ja tego nie pojmuję — wzięła od dziewczyny brylant, uniosła go wysoko pod światło. — Jaki piękny! — westchnęła. — Tylko, zastanawiam się, czy prawdziwy?

— Na sto dwa — rzekła z zapałem Zulejka. — Fałszywy nie błyszczałby takim blaskiem.

— Nie znam się na drogich kamieniach — zauważyła pani Żednicka, wpatrzona z zachwytem w brylant. — Wiem tylko, że tej wielkości brylant to ogromna fortuna.

— Wart pewno więcej niż milion.

— Złotych?

— A pani myśli, że dolarów?

— Nie mam pojęcia, ile wart, ale to majątek.

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

TAK BYŁO

Wszystkie prezentowane tu fotografie trafiły do „Płomyczka" dzięki uprzejmości pani red. Marii Bijak z redakcji „Nowej Wsi". Wszystkie pochodzą sprzed roku 1948. A nadesłali je czytelnicy „Nowej Wsi" na konkurs pn. *„Fotografia Polskiej Wsi"*.

— A dlaczego to uczynili?

Nie tylko dla nagród. Ale nade wszystko nadesłali je po to, aby mógł powstać — z tych ponad 6 tysięcy fotografii — Wielki Album Życia Milionów Polaków.

My — do „Płomyczka" (to zrozumiałe) wypożyczyliśmy głównie te fotografie, na których widać dzieci.

Chcemy w naszym piśmie pokazywać i szanować wieś. Tę dawną i dzisiejszą. A na początek przedstawiamy właśnie te fotografie, które wypożyczyliśmy z redakcji „Nowej Wsi".

Patrząc na nie, zwróćcie uwagę — Drodzy Czytelnicy — że tylko nieliczne dzieci mają na nogach buty...

Myślę, że również Czytelnicy „Płomyczka" mogliby rozpocząć kompletowanie fotografii w swoich albumach. Obok fotografii rodzinnych mogłyby znaleźć się w nich fotografie z życia wsi, osady i miasta.

Dobrze by było, aby każdej fotografii towarzyszyła data i opis.

Za rok, jak już dużo nazbieracie, spróbujemy zajrzeć do Waszych Albumów i Kolekcji Fotografii. Najciekawsze zreprodukujemy. Pokażemy w „Płomyczku". A szczególnie wytrwałych i pomysłowych zbieraczy (ocalających kształt mijających chwil) odpowiednio nagrodzimy.

Tadeusz Chudy

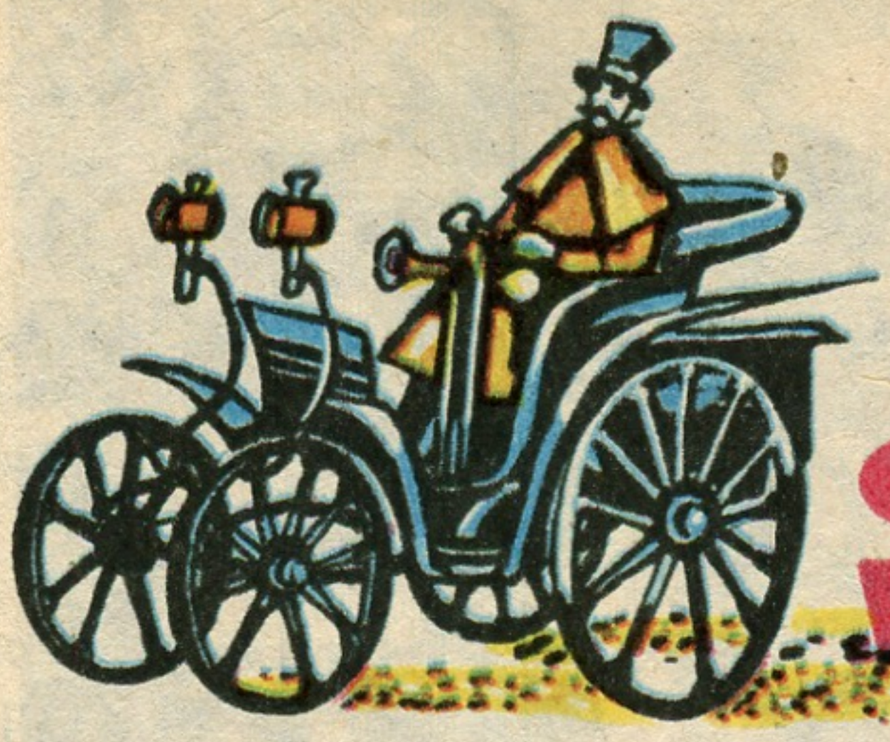

100 lat samochodu

SPORT SAMOCHODOWY

Samochód zaczęto ulepszać już w końcu ubiegłego wieku: Producenci samochodów chcieli zademonstrować sprawność i niezawodność swoich pojazdów w czasie jazdy. Zaczęto więc organizować różne jazdy sprawnościowe. Wkrótce narodził się pomysł zorganizowania zawodów, w których rywalizowałyby samochody różnych marek. Były to wówczas samochody napędzane silnikami parowymi, spalinowymi oraz samochody elektryczne. Tak więc rywalizacja miała również dać odpowiedź na pytanie — jaki napęd jest lepszy do samochodu.

Pierwsze udane zawody samochodowe zorganizowali w 1894 r. dziennikarze z paryskiej gazety codziennej „Petit Journal". Był to wyścig z Paryża do Rouen. Zwycięstwo odniosły samochody Peugeot napędzane silnikami benzynowymi, przyznano im pierwsze i drugie miejsce. Rok później ponownie rozegrano wyścig, tym razem na długiej trasie wynoszącej blisko 1200 kilometrów, z Paryża do Bordeaux i z powrotem. Ponownie zwyciężyły samochody benzynowe, pokonując najgroźniejszego rywala, jakim był parowy samochód marki De Dion-Bouton, który przyjechał do mety na dalekim miejscu. Porażka parowego pojazdu sprawiła, że we Francji przyspieszono prace nad samochodami benzynowymi, a konstruktor pojazdu parowego, hrabia De Dion, zaprzestał budowy pojazdów parowych i zaczął produkować pojazdy benzynowe.

W 1895 roku powstał Francuski Automobilklub, organizacja zajmująca się zawodami samochodowymi. Francuzi stali się głównymi organizatorami sportu samochodowego w Europie. Na terenie Francji organizowano najważniejsze zawody, które następnie przeniesiono do innych krajów. Urządzano wyścigi z Paryża do Berlina i do Wiednia. Nabrały one charakteru międzynarodowego.

Znanymi zawodami organizowanymi przez Francuzów były wyścigi o Puchar Gordona Bennetta, a kilka lat później wyścigi

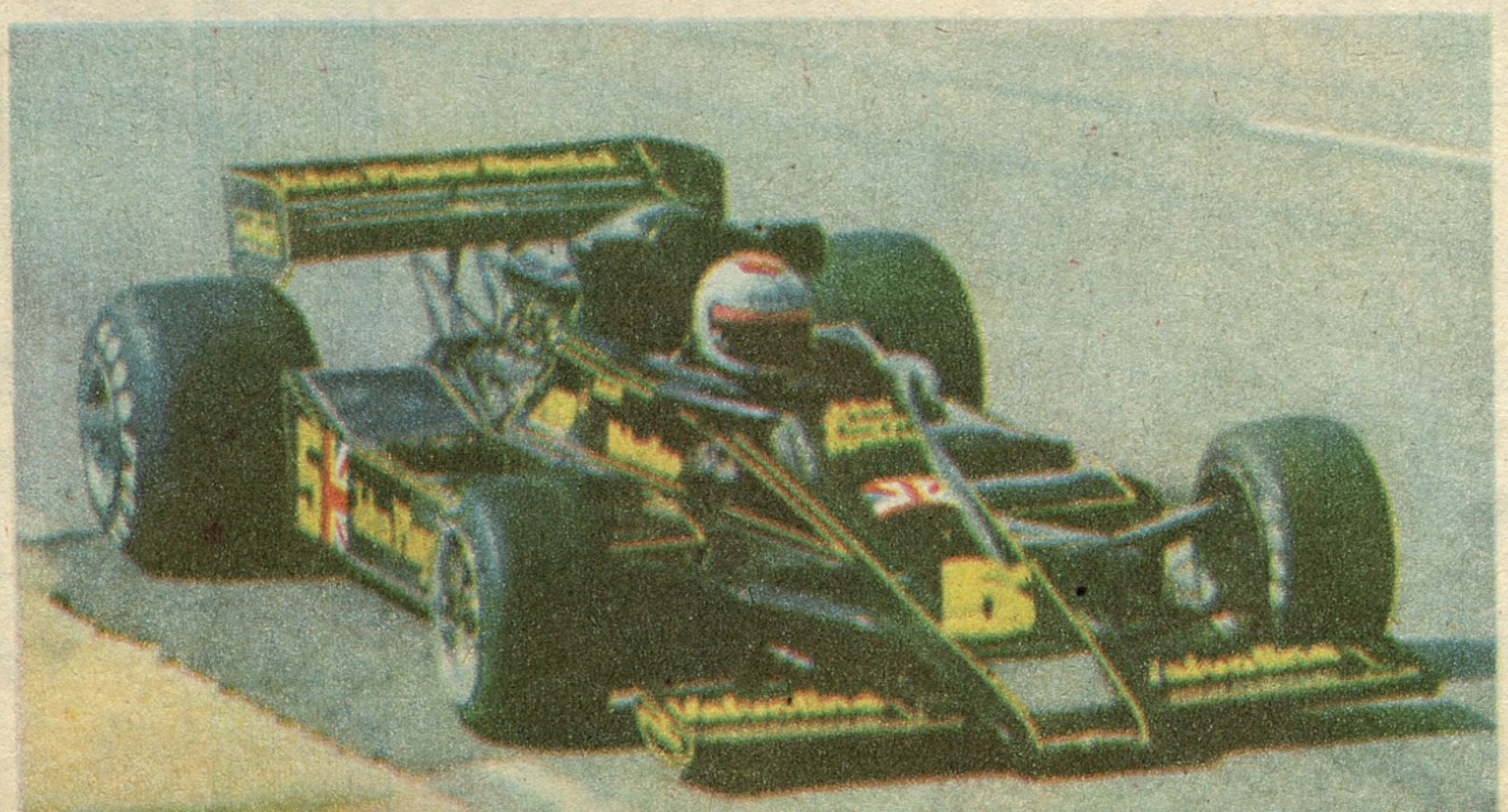

Współczesny samochód wyścigowy formuły 1, angielski „Lotus"

o Wielką Nagrodę Automobilklubu Francuskiego nazwane Grand Prix. Zapoczątkowały one najbardziej dzisiaj znane zawody samochodowe na świecie — wyścigi formuły 1.

Francuzi byli również organizatorami dwóch pierwszych gigantycznych maratonów międzykontynentalnych. Pierwszy taki wyścig, nazywany także rajdem, zorganizował paryski dziennik „Le Matin" w 1907 roku. Trasa wyścigu długości około 16 tysięcy kilometrów wiodła z Pekinu do Paryża. Ta sama paryska gazeta oraz gazeta amerykańska „New York Times" zorganizowały w następnym roku jeszcze dłuższy wyścig — z Nowego Jorku do Paryża.

Obecnie wiele krajów organizuje wyścigi i rajdy. Najbardziej znane są wspomniane już wyścigi formuły 1, wyścigi odbywające się na amerykańskim torze w Indianapolis, rajd Safari i rajd do Monte Carlo.

Wyścigi i rajdy rozgrywane są o mistrzostwo kierowców i mistrzostwo marek samochodowych.

Zawody samochodowe są niebezpieczne, dlatego w wielkich wyścigach i rajdach startują najlepsi, najbardziej doświadczeni kierowcy. Pomimo ich doświadczenia zdarzają się wypadki, tragedie kierowców i często widzów. Jednak sportem samochodowym interesuje się wielu ludzi. Są to nie tylko widzowie tłumnie przychodzący na tory wyścigowe całego świata. Zainteresowani są dobrze zarabiający kierowcy, producenci pojazdów i konstruktorzy. Sport samochodowy jest doskonałym poligonem doświadczalnym dla konstruktorów. Aby samochód mógł wygrać, lub tylko ukończyć morderczy wyścig, musi być dobrze skonstruowany. Budując i stale usprawniając samochody sportowe konstruktorzy często te usprawnienia stosują później w seryjnych samochodach, przeznaczonych na rynek. I to właśnie, poza emocjami sportowymi, jest największa korzyść ze sportu samochodowego.

Fot. i tekst
Zdzisław Podbielski

Rajd „Safari" rozgrywany na bezdrożach wschodniej Afryki należy do najtrudniejszych rajdów świata-

Start do rajdu organizowanego w Warszawie

W ubiegłym roku „Płomyczek" (nr 5) pisał o swojej wizycie w kwartalniku „Kwiaty". W czasie redakcyjnej pogawędki usłyszeliśmy wówczas m. in. o bardzo ciekawej inicjatywie nazwanej:

ZIELONE ŚWIADECTWA

W roku 1979, w Międzynarodowym Roku Dziecka, pisaliśmy na łamach naszego kwartalnika „Kwiaty" o tzw. zielonych świadectwach. Chcemy wrócić do tematu raz jeszcze, ale tym razem już w Waszym czasopiśmie, w „Płomyczku".

Przypomnijmy, że akcja ta rozpoczęła się w Łodzi w 1973 r. A dlaczego właśnie tam? Ci spośród Was, którzy mieszkają w tym mieście, domyślą się zapewne bez trudu — Łódź była szczególnie zanieczyszczona przez pyły, dymy i gazy, cierpiała na brak tlenu oraz... zieleni. Dlatego też, aby ten stan poprawić, a przy okazji w związku z 550 rocznicą założenia miasta, rodzice nowo narodzonych dzieci postanowili posadzić w Staromiejskim Parku drzewka. No, i idea przyjęła się. Od tej pory prawie wszyscy rodzice rejestrujący swe dziecko w Urzędzie Stanu Cywilnego deklarowali chęć posadzenia drzewka. Takie uroczyste zbiorowe sadzenie odbywało się wiosną i jesienią (jako fachowcy przypominamy, że są to najlepsze terminy sadzenia drzewek). Drzewka oznaczano tabliczką z imieniem i nazwiskiem „właściciela", a maluchy otrzymywały dyplomy — „Zielone świadectwo urodzenia", zobowiązujące do opiekowania się w przyszłości swoimi „podopiecznymi".

Pomysł ten spodobał się i w Krakowie, ale tutaj każde dziecko idące do pierwszej klasy sadziło drzewko. W Krakowie akcję zainicjowało nowo powstające wtedy osiedle — Prądnik Czerwony, przy współudziale krakowskiej redakcji „Przekroju", „Hasła Ogrodniczego" i „KWIATÓW". A dowodem tej pożytecznej pracy jest dzisiejszy wygląd osiedla.

Dzieci, które otrzymały swoje „Zielone świadectwa", będące wyrazem początku ich życia lub pierwszych kroków w szkole, zapewne do dziś zajmują się swoimi „podopiecznymi". Dzieci te, pewnie bardziej niż inne wrażliwe na piękno przyrody, nauczyły się szanować wszystko, „co żywe i zielone", i nauczyły tego także swoich najbliższych, wiedzą też, co to odpowiedzialność. Myślimy więc, że była to naprawdę pożyteczna i pouczająca akcja, warta rozszerzenia na cały kraj, akcja, która przyniosła tyle dobrego niejednemu z najbardziej zanieczyszczonych i zdewastowanych, pod względem utrzymania zieleni, miast w Polsce.

A może i Wy weźmiecie udział w akcji sadzenia drzewek? Może rozpowszechnicie ją w swoim mieście, w osiedlu, na wsi, w szkole? A może macie inną propozycję upamiętnienia swojego dzieciństwa lub wkraczania w szkolne życie? Będziemy w redakcji „KWIATY" służyć Wam radą i pomocą. A od tych, którzy mają już swoje „Zielone świadectwo", oczekujemy wiadomości.

Małgorzata Piekarz

Wszystkim zainteresowanym podajemy adres redakcji „Kwiaty":

ul. Garbarska 13
31-131 Kraków

Niebezpieczeństwo, jakie grozi przyrodzie ze strony człowieka, dostrzegano od dawna. Najstarszy dokument, biorący pod ochronę przyrodę, wydano w Chinach już w 1122 roku przed naszą erą, a więc ponad 3 tysiące lat temu. Dotyczył on ochrony lasów.

Rok 1985 — Międzynarodowym Rokiem Lasu

ogłoszony został przez FAO, Organizację do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa ONZ.

Rozwój cywilizacji, a więc wzrost liczby fabryk i zakładów przemysłowych, a także liczby samochodów — powoduje niekorzystne zmiany w środowisku, m. in. niszczenie zasobów leśnych na świecie. Dotyczy to zarówno Ameryki, jak i Europy, Azji i strefy tropikalnej, gdzie dodatkowo nastąpiło nadmierne wycinanie lasów.

Ponieważ jest to w tej chwili problem międzynarodowy, FAO wystosowała rezolucję-apel do rządów i międzynarodowych organizacji w sprawie ochrony środowiska przyrodniczego, a szczególnie lasów i zadrzewień. W rezolucji Rady FAO czytamy:

RADA (...)

ŚWIADOMA faktu, że Ogólne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych ogłosiło rok 1985 — Międzynarodowym Rokiem Młodzieży i że „Sadzenie Drzew" będzie jednym z głównych punktów programu wprowadzających młodzież do nowych wydarzeń;

ZALECA, aby Dziewiąty Światowy Kongres Leśnictwa w Meksyku w lipcu 1985 r. zwrócił specjalną uwagę na ochronę i właściwe użytkowanie zasobów leśnych;

PROSI wszystkie kraje członkowskie, aby w ciągu 1985 r. dały szczególny wyraz uznania idei „Lasu", aby potraktowały zachowanie swoich zasobów leśnych jako przedmiot troski krajowej i światowej (...)

W Polsce leśnictwo otoczone jest opieką i troską państwa. Dzięki temu w okresie powojennym udało się w polskich lasach odnowić znaczną część wyeksploatowanych lub zniszczonych drzewostanów i zwiększyć lesistość kraju z 20,8% do 27,6%.

W Międzynarodowym Roku Lasu do ochrony i pielęgnacji lasów i zadrzewień powinni, oprócz leśników, włączyć się wszyscy: młodzież, harcerze, członkowie Ligi Ochrony Przyrody i wielu innych przyjaciół lasu.

Pamiętajcie o drzewach i krzewach. Dbajcie o lasy, do których chodzicie na wycieczki, o parki i zielone tereny w swoich miastach, osiedlach i zagrodach — od nich w dużym stopniu zależy poprawa warunków naszego życia, zdrowia i wypoczynku.

(według „Przyrody Polskiej" opr. M. Cz.)

Fot. Zdzisław Wdowiński

MUCHOMOR SROMOTNIKOWY

Jednym z najbardziej trujących organizmów świata nie jest wcale żaden egzotyk, żadna kobra czy roślina kurarodajna, lecz nasz rodzimy **muchomor sromotnikowy,** dawniej zwany zielonkawym. Silnie trujące są zawarte w tym grzybie specyficzne białka: amanityny i faloidyna.

Jak odróżnić tego muchomora od innych? Jest on wielkości dobrze znanego muchomora czerwonego, choć bardziej masywny. Wierzch kapelusza jest zielonkawy (u wiosennych owocników może być biały). Blaszki i trzon białe, a w miarę upływu czasu mogą (szczególnie trzon) zielenieć. Trzon wyrasta z dużej pochwy, u góry ma przyrośnięty pierścień. Owocniki wyrastają głównie jesienią w lasach i, choć mają widoczne cechy rozpoznawcze, są wciąż mylone z niektórymi grzybami jadalnymi i są co roku przyczyną groźnych zatruć. Mylone z nim grzyby jadalne to: pieczarki, które mają trzon bez pochwy, a blaszki ciemniejące z wiekiem (od białawych przez różowe do czekoladowych), gąska zielonka (gąska żółta) o żółtych blaszkach i trzonie bez pochwy, i pierścienia, gąska niekształtna (gąska siwa) o trzonie bez pochwy i bez pierściena, czubajka kania tylko o zgrubiałym u podstawy trzonie bez pochwy i o ruchomym pierścieniu i o kolorycie beżowym, brązowo-plamistym, i wreszcie gołąbki (surojadki) nie mają ani pochwy, ani pierścienia przy trzonie.

Choć **muchomor sromotnikowy** (i niektóre inne muchomory) jest trujący, nie można go niszczyć, podobnie jak i innych grzybów niejadalnych — wszystkie je chroni prawo (Ustawa o ochronie roślin i zwierząt) jako naturalne składniki naszej przyrody. Rośliny i zwierzęta niebezpieczne trzeba poznawać i omijać!

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

FRASZKI TADEUSZA FANGRATA

Rys. Bohdan Butenko

Dostawca

Morze jest dostawcą muszli,
z których lokatorzy uszli.

Po burzy

Burza przeszła bokiem:
niebo uśmiecha się obłokiem.

Na widnokręgu

Na widnokręgu,
gdzie wyżyna,
tam się świat kończy
i zaczyna.

Muchomor

Muchomor ma do siebie to, że
życie nam zatruć może.

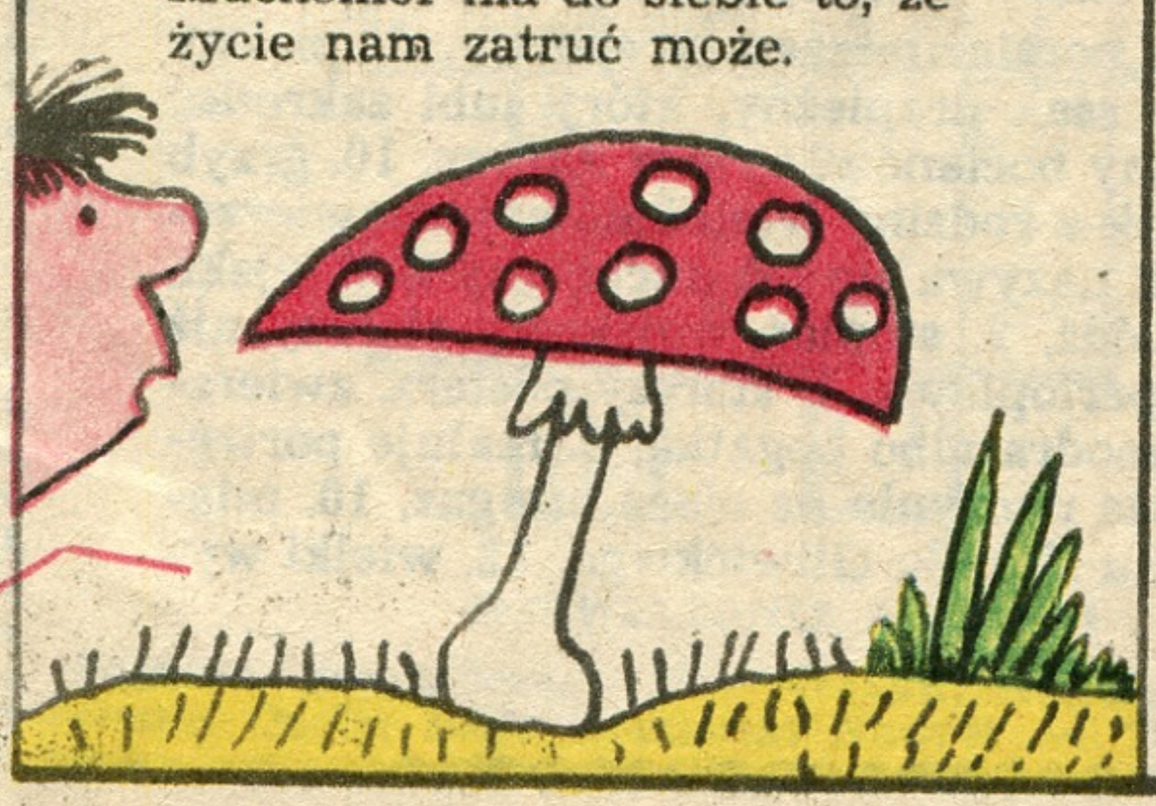

O drzewie

I pod korą
jest spraw sporo.

Butenko pinxit

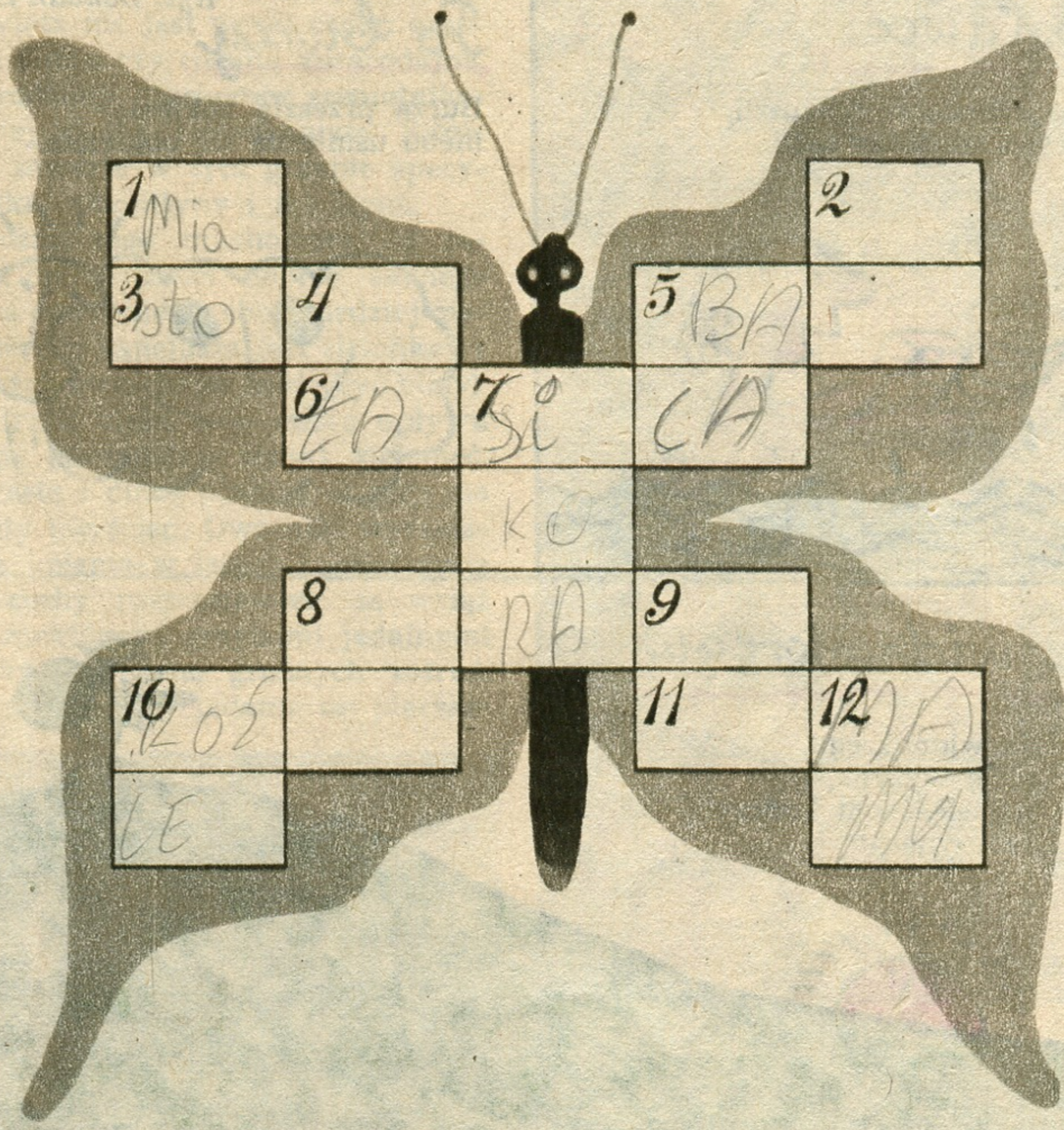

Krzyżówka sylabowa

W puste kratki wpiszcie sylaby wyrazów o niżej podanych znaczeniach.
POZIOMO: 3. dokładny zegarek do pomiaru czasu w sporcie, 5. piękny upierzony ptak łowny, 6. chroniony ssak drapieżny, który lubi zakradać się do kurników, 8. duży ptak z rodziny bocianów, żyje w Afryce, 10. grzyb jadalny, zwany też koźlakiem, 11. ssak z rodziny wielbłądów, jest zwierzęciem domowym w Peru i Boliwii; tak nazywa się też duchowny buddyjski.
PIONOWO: 1. jest nim Kraków i Łódź, 2. stopień wojskowy starszy niż kapral, 4. powstaje w muszli małża perłopława, 5. starszy pasterz, zwierzchnik juhasów, 7. może być uboga, modra albo bogatka, 8. maluje portrety, krajobrazy lub mieszkania, 9. duże naczynie na ciecz lub gaz, 10. miasto i port leżące nad Odrą, przy ujściu Kanału Gliwickiego, 12. wielki wymarły ssak, przodek słonia.

JAKIE TO PTAKI?

Przestawiając litery znajdujące się w tych parach wyrazów, utwórzcie nazwy czterech ptaków.

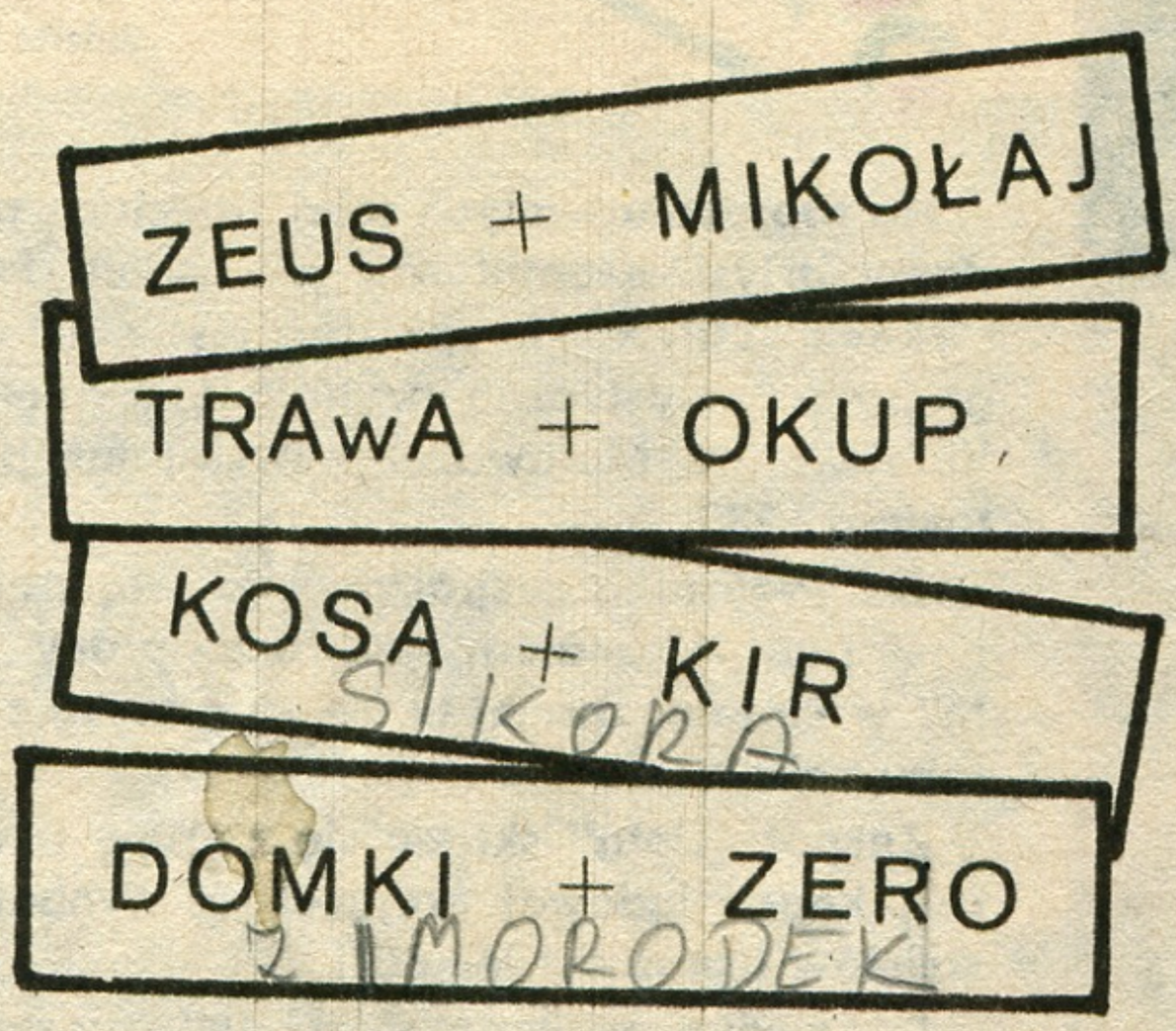

KRZYŻÓWKA

W puste kratki wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach:
Poziomo: 3. ptak podobny do orła, używany do polowania, 5. jest nim oranżada, mleko, 6. niejedna w regale, 7. koc do przykrywania konia.
Pionowo: 1. katowskie narzędzie, 2. wybiera się za morze, 3. żołnierz rozbrajający miny, 4. kręci się w hulajnodze.

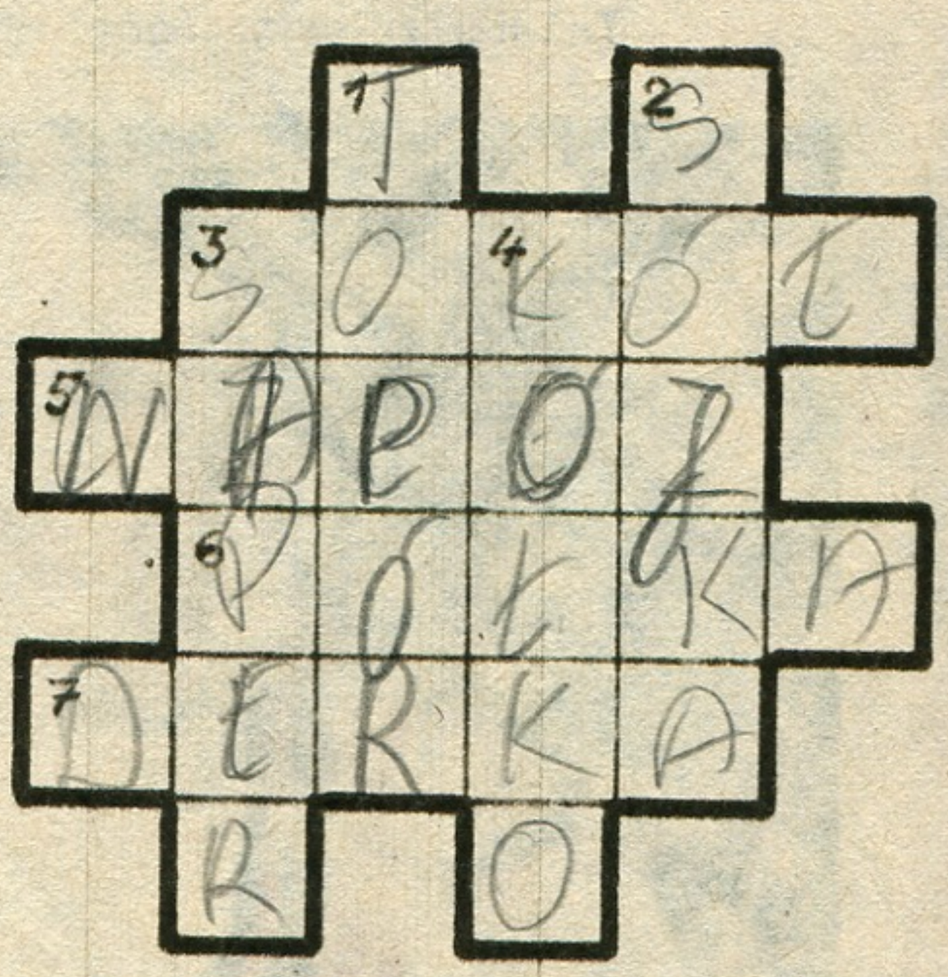

ROZWIĄZANIA Z NRU 14

Zagadka geograficzna: Ełk, Kraków, Włocławek, Kołobrzeg, Gniezno, Opole; Jakie to miasta? Nawrót — Tarnów, barak — Rabka, krówka — Kraków, liszka — Kalisz, kuter — Turek.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 90 zł,
półrocznie — 180 zł,
rocznie — 360 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8.
Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.
Zam. 1605/85 L-7

Nakład 430.370 egz.
INDEKS 36875

FOLKLOR ŚWIATA

Na reprodukowanych tutaj zdjęciach oglądamy artystów-amatorów z Zespołu Pieśni i Tańca „LIPTA". Zespół ten jest najstarszą grupą folklorystyczną działającą w regionie Valašska na Morawach. Powstał już przed rokiem 1930.

Od 1946 roku zespół rozwija swą działalność pod patronatem spółdzielni pracy „Lipta" w Liptalu, znanej także za granicą z wyrobu zabawek z drewna.

Zespół „Lipta" składa się z grupy tanecznej, kapeli ludowej grającej na cynbałach, solistów i grupy dziecięcej.

W swoim programie „Lipta" prezentuje oryginalny folklor z regionu Valašska, położonego w samym środku Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej. Pokazuje m.in. starodawne tańce obrzędowe, lecz także tańce figuralne z XVIII i XIX wieku. Do najpiękniejszych należą tańce wirowe oraz solowe tańce w wykonaniu mężczyzn.

Wiele melodii „Lipty" pochodzi z własnych zbiorów zespołu, którego występy uzupełniają i urozmaicają wesołe zabawy pasterskie oraz dziewczęce śpiewy i tańce.

Tekst i zdjęcia: Tadeusz Samborski

CENA 15 ZŁ